

List Do Generała Suttera

Adam Lizakowski (*Chicago-Pieszyce*)



Generał John A. Sutter (1803-1889), ok. 1875 r., fot. The Huntington Library, Art Museum and Botanical Gardens

Dwadzieścia lat myślę o tym, jak rozpocząć list

o tobie, o twym życiu generale. Kto nie zna ciebie,

kto nigdy o tobie nie słyszał,

komu łzy nie płynęły przy czytaniu

historii twojego życia,
która jest żywą historią Kalifornii,
miasta San Francisco, nie ma prawa nazwać się

K A L I F O R N I J C Z Y K I E M

Kto nie widział twojego fortu w dolinie Sacramento,
kto nie chodził ulicami miasteczka Colomy, nigdy
nie zrozumie, czym była i jest Kalifornia dla milionów
ludzi żyjących marzeniem o lepszym jutrze, lepszym życiu.
Próbowałem coś napisać do ciebie, a jednak dwadzieścia lat
mi to zabrało.

J O H A N N I E A U G U Ś C I E S U T E R Z E

Ty
z pokładu „Esperance” – pierwszego parowca kołowego
z kwadratowymi żaglami
dumnie wpływającego do Nowego Yorku,

Ty
bankrucie, uciekinierze, złodzieju, włóczęgo,
oszuście, mógłbym powiedzieć, że cię kocham.

Uciekłeś z Europy jak szczur.

Kogo
mogłeś okraść, to okradłeś,

kogo

mogłeś oszukać, to oszukałeś,

ktokolwiek

pokładał w tobie

jakiegokolwiek

nadzieje, zawiódł się,

i tak rozpoczyna się cudowna podróż, krwawe życie,

przeklęty los, tysiące wylanych łez, śmierć najbliższych

generała Johanna Augusta Suttera.

Jest niedziela.

P s s s s s s s s s s s s s

Ty

w Nowym Jorku w 1834 roku - rozbitku ze Starego Świata,

Ty

w Nowym Świecie odkrytym dla życiowych rozbitków,

malkontentów, nieudaczników, włóczykijów, straceńców,

którzy całe swoje życie postawili na jedną kartę,

których po świecie gnała romantyczna pasja,

młodzieńcza naiwność, gorąca krew, pragnienie bogactwa,

łatwego życia, taniego wina, pięknych i cudzych kobiet,

Ty

wśród nich, tych niepokornych, pierwszych socjalistów
z Niemiec, pierwszych mistyków z Rosji, pierwszych
zwolenników systemu falansterów z Francji,

Ty

wśród ideologów, których szczują wszystkie policje Europy,
wśród wielkich umysłów epoki i wśród ludzi, którym brakuje
piątej klepki, wśród bandytów z portów Londynu czy
Amsterdamu,

Ty

wśród chłopów ze Szkocji i Irlandii, głodującej Skandynawii,
upośledzonych gospodarczo Włoch, wśród greckich, polskich,
węgierskich patriotów, ofiar wojen napoleońskich,

Ty

z lekkim sercem opuszczasz generale Nowy York,
wschód Ameryki, w dolinie Missisipi też nie zagrzejesz
długo miejsca, skierujesz się na

Z A C H Ó D

Tam,

gdzie miliony bizonów beztrosko gryzie trawę,

gdzie

tysiące chętnych pojechały szukać bogactwa i mało kto wrócił,

jedni

umarli na prerii, drudzy z głodu, z pragnienia,

jedni

umarli na pustyni z gorąca, drudzy w górach z zimna,

innym

Czerwone Twarze zdjęły skalpy z głów.

Generale,

tobie Indianie uratowali życie, oni pierwsi powiedzieli ci

o tym zaczarowanym słowie - miejscu magii i cudowności:

K A L I F O R N I A

Kalifornia od chwili jej odkrycia stanowiła część korony

hiszpańskiej. Była jedną z prowincji wicekrólestwa

hiszpańskiego w Meksyku. W 1839 roku stolicą prowincji

było Monterey liczące 35 tysięcy mieszkańców, w tym

5 tysięcy białych i około 30 tysięcy Indian. Ty jednak

generale wybierasz dolinę Sacramento, osiedlasz się

przy ujściu rzeki Rio de los Americanos, zakładasz

własne państwo - Nową Helwecję, dochodzi do potyczek

z Indianami, wkraczasz na ich tereny łowieckie.

Chwycili za broń, nocami podpalali stogi i stodoły,

za dnia mordowali samotnych pasterzy, kradli bydło,

nie było dnia, żeby nie przyniesiono trupa zabitego
farmera, trupa oskalpowanego drwala lub plantatora,
po wielu trudach i wysiłkach żyjesz jak król,
zwą cię cesarzem, tysiące ludzi pracuje u ciebie
i dla ciebie, niczego ci nie brakuje, chociaż dużo pragniesz,
ludzie o tobie mówią, że jeździsz na białym koniu, siodło
masz ze złota, wędzidło także złote, tak jak i strzemiona,
i ostrogi, nawet podkowy konia są ze złota.
W kraju, w którym mieszkasz, panuje nieustające święto,
wódka całymi dniami leje się strumieniami.
Wielu widzi w tobie przeznaczenie, ojciec Gabriel,
opiekun Indian, którego nauki są znane wśród dzikich plemion,
bo żyje pośród Siuksów, Osagów, Komanczy, Czarnych Stóp,
Węży, Niedźwiedzi, Pum, którego słuchają jak wyroczni,
powiedział: Kapitanie
(wtedy Sutter był jeszcze kapitanem)
kawał historii świata spadło na twoje barki,
ale ciągle mocno się trzymasz. Unieś głowę wysoko, wysoko,
rozejrzyj się wokół. Popatrz na te tysiące młodych i starych ludzi
przybywających tu codziennie, aby pracować nad zdobywaniem

S Z C Z Ę Ś C I A

Z Europy sprowadzasz nowe nasiona, sadzonki drzew owocowych, zakładasz plantacje bawełny, ryżu, indy, winnice, pojawiają się inni biali zwabieni twoim bogactwem i sławą, głównie Rosjanie, Niemcy, Irlandczycy, im dajesz pracę, zatrudniasz zgodnie z ich umiejętnościami, codziennie w porcie San Francisco ładują na statki twoje konie, skóry, talk, pszenicę, mąkę, kukurydzę, suszone mięso, sery, masło, deski, wędzonego łososia, liczne stada pasą się na soczystych łąkach, sady obfitują w owoce, w warzywnikach rosną jarzyny ze starego świata obok roślin tropikalnych, rzędy magnolii, palm, bananowców, drzew kamforowych, pomarańczy, cytrusowych drzewek. Jadło jest znakomite, czego tylko ludzkie podniebienie zapragnie, zakąski, pstrągi i łososie z miejscowych rzek, szynka pieczona na szkocką modłę, udziec sarni, łapy niedźwiedzi, wędzony ozór, faszerowany prosiaczek posypany mączką z tapioki, reńskie, a także trochę starych win francuskich, które przejechały pół świata i nie zwietrzały, tak o nie dbano.

Do stołu podają najpiękniejsze kobiety z Hawajów i innych wysp,
śliczne Indianki i Metyski, przygrywa orkiestra hawajska,
na końcu, gdy wraca odwaga i pewność siebie, jak każdy emigrant,
któremu się udało, po 14 latach zapraszasz do siebie rodzinę.

R O D Z I N A

W cieniu włoskiej altanki, głaszcząc ulubionego psa,
myślisz o rodzinie, zostawiłeś ją w nędzy:
żonę, trzech synów i córkę,
lecz przez te wszystkie lata o nich myślałeś,
jak każdy emigrant umierałeś za nimi
z tęsknoty w wielkiej samotności będąc częścią zwariowanego
świata ludzi i przedmiotów, marzeń i snów

wymieszanych z rzeczywistością,
gdy nadarzyła się okazja, pomogłeś, zawsze pomagałeś,
czas pomyśleć o rehabilitacji, o honorze, nazwisku,
zanim oni do ciebie dotarli, zanim postawili stopę
na kalifornijskiej ziemi, musieli spłacić twoje długi
w starej ojczyźnie, unieważnić hańbiące wyroki,
wypolerować twój portret w oczach
ludzi, którzy jeszcze żyli, jeszcze cię pamiętali,
pomogły w tym twoje amerykańskie dolary,
które wysyłałeś z każdym miesiącem
więcej i więcej, i więcej, i więcej
aż zostałeś uznanym i szanowanym człowiekiem,
cieszącym się zaufaniem największych banków świata,
lecz
stała się rzecz straszna, sam diabeł spiskował,
wszelkie moce piekielne się sprzysięgły przeciwko tobie,
teraz to widzę i rozumiem i nie ma nic w tym dziwnego,
że na stare lata zostałeś najlepszym interpretatorem Apokalipsy,
pan Marszałl

cieśla z New Jersey, budujący młyny dla ciebie, odkrył złoto w nowo wybudowanym
tartaku w Colomie, na twojej ziemi odkryto żyłę złota, górę złota, morze złota,

kopalnie złota, w jednej chwili stałeś się najbogatszym człowiekiem świata, to co się stało później, było straszne, złoto cię zrujnowało, złoto zabiło marzenia, złoto, przeklęte złoto, nie możesz tego zrozumieć mów:

G O R A C Z K A Z Ł O T A



Kobieta z trzema mężczyznami poszukująca złota podczas kalifornijskiej gorączki złota, fot. Wikimedia Commons

Ludzie stracili rozum, marynarze uciekali z okrętów, żołnierze z wojska, każdy zamykał swoją chałupę, barak, farmę, warsztat, miasta się wyludniły, stanęły młyny, w jedną noc okradziono mnie ze wszystkiego, garbarnie były puste, skóry gniły w kadziach, pastuchy opuszczali stada, plantatorzy plantacje, zboże gniło w polu, owoce w sadach, w stajniach, oborach stały głodne zwierzęta, wszyscy poszli w góry płukać złoto.

Och Generale!!!

Inni dorabiają się fortuny, nic nie robisz, nie stawiasz przeszkód,

z obojętnością patrzysz, jak zabierają i dzielą twoją ziemię,

nadają sobie tytuły własności, sporządzają nowe mapy,
dewastują twoje mosty, kanały, stawy, śluzy, drogi, młyny,
kto ci za to wszystko zapłaci, kto ci odda choćby małą część,
okradziono cię ze wszystkiego, twoje życie stało się piekłem,
tłum krzyczał:

SAN FRANCISCO > KALIFORNIA > SUTTER

Te trzy słowa obiegały cały świat, znano je wszędzie, w najbardziej oddalonych zakątkach. Z każdego miejsca na kuli ziemskiej wyruszali pojedynczy ludzie, wspólnoty, klany, bandy. Wyruszali do Ziemi Obiecanej, gdzie wystarczyło schylić się, żeby podnieść masę złota, pereł, diamentów, wszyscy dążyli do jednego celu:

E L D O R A D O

Grasują bandyci i złodzieje, walka o życie to prawo silniejszego, strzały w plecy, wieszanie na lasso, kopanie leżącego, szeryfem jest pistolet kaliber 45, prawem mocna pieść, wiadomość o złocie jest szybsza od ptaka i konia, ten czy tamten już wyjechał, inni jadą teraz w ślad za nimi, a następni pojedają po nich. Następni, następni, następni... Wielu dorobiło się już milionów. Wszędzie tam jest złoto, zbiera się je łopatom, wystarczy tylko się schylić, mieć mocne plecy do znoszenia worków ze złotem z gór do miasteczek, aby tam zamienić je na whisky i dziewczyny. Złoto to rzecz przeklęta, przekłęci ci wszyscy, którzy tutaj przyjechali, którzy tu przyjeżdżają i ci, którzy będą je wydobywać, bo większość z nich zginie. Życie staje się piekłem, ludzie zabijają się, mordują. Wszyscy oszukują, kradną.

Wielu zwariowało albo popełniło samobójstwo i to dla

Z ł o t a

cały świat generale przewalił się przez twój dom,
twoją ziemię, twoje życie. Tysiące razy myślałeś,
ile to wszystko jest warte, jak długo gorączka złota może trwać,

ile milionów dolarów wydobyto z twojej ziemi,
ile tysięcy ludzi bezprawnie zamieszkało na twoim terytorium,
ilu z nich zostało pochowanych w twoich ogrodach, sadach, na polach,
ilu z nich złoto uczyniło mordercami, pijakami, straceńcami,

Z ł o t o

przynosi nieszczęście, teraz jesteś tego pewien.

A N T Y C H R Y S T T O Z Ł O T O

Do nóg Generała pada pewna Rosjanka, podczas gdy on komentuje wizje świętego Jana i opowiada epizody ze swojego życia. On, najbogatszy człowiek świata, teraz nie ma nic, jego życie, niedole, niedostatki, cała energia, wola, wytrzymałość, nadzieje, wszystko było niepotrzebne, on nie ma nic, to, co tak kochał: książki, papiery, instrumenty muzyczne, broń, narzędzia, skóry niedźwiedzi i pum, futra, kły morsów, fiszbiny wielorybów, wypchane ptaki, kolekcje motyli, indiańskie ubiory i wyroby, kolekcje bursztynów, szlachetnych kamieni, wszelkiego rodzaju minerałów, wszystko obróciło się w popiół.

Złoto północnej Kalifornii było jego, teraz wszystko obróciło się
w kupkę gorącego popiołu, wszystko to, co było najdroższe,
co reprezentuje życie i jest dumą człowieka, uleciało,
ze szczytu góry spoglądałeś na ogromny kraj, który użyźniłeś,
ogarnięty był grabieżą i ogniem, dochodziły do twoich uszu
odgłosy strzałów i ciżby, to co było ci tak bliskie i drogie,
zamieniło się w

P O P I O Ł Y I Z G L I S Z C Z A

We wrześniu 1850 roku Kalifornia wchodzi w skład Konfederacji Stanów Zjednoczonych, lecz Waszyngton jest daleko, na terenach generała powstało dziesięć wielkich miast, m.in. San Francisco, Sacramento, Fairfield, setki farm, 1 500 miasteczek i osad, nie można temu zaradzić, nic zrobić, adwokaci fałszują dokumenty, wystawiają nowe akty własności, tylko w samym Nowym Yorku powstało 65 spółek zajmujących się eksploatacją złóż, zebrany kapitał sięgał milionów dolarów.

Żona Generała

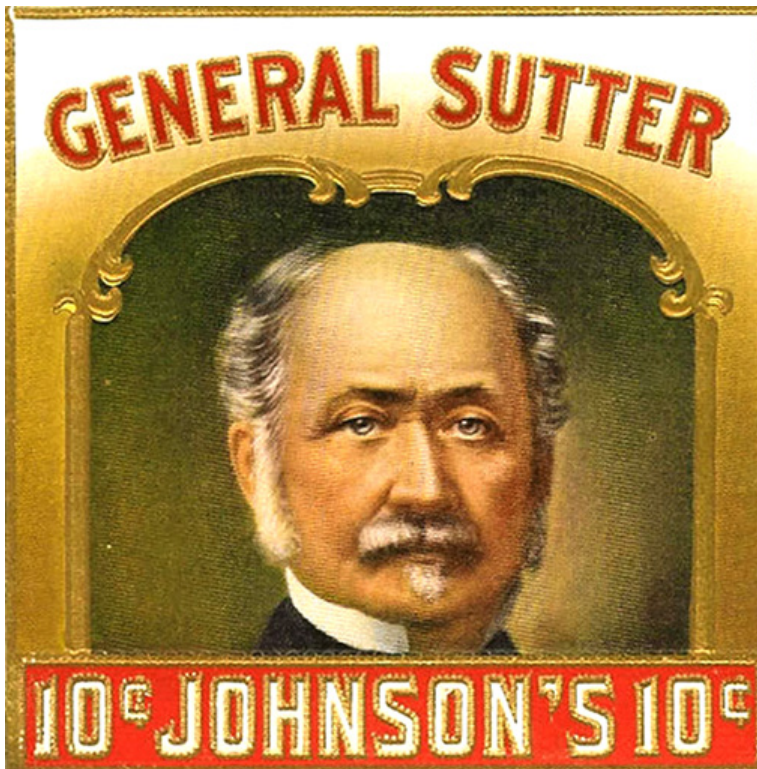
umarła na progu domu tuż przed przywitaniem się z nim, córka Mina jest w ciąży, przeszła wstrząs nerwowy, ma trudności z mówieniem, syn Victor wyruszył w drogę powrotną do Europy, ale jego statek zaginął gdzieś na morzu koło Cieśniny Magellana, drugi syn Artur zginął broniąc swojej farmy, najstarszy syn Emil - adwokat - popełnił samobójstwo w jakiejś komórce nie będąc w stanie znieść presji otoczenia.

Generale

tak się kończy twoja historia, twojej Kalifornii, Nowej Helwecji, tak się kończy

historia emigranta ze Szwajcarii, najbogatszego człowieka świata z Kalifornii, żyjącego na zasiłku rządowym, starego wariata, który podał do sądu rząd Stanów Zjednoczonych o odszkodowanie na sto milionów dolarów.

Tak się kończy historia najbogatszego człowieka świata. A to dopiero niezły żart!



Etykieta papierosów z wizerunkiem generała Suttera

Ps.

Generał August Suter (Sutter) zmarł w wieku 73 lat 17 czerwca o trzeciej popołudniu w 1880 r. Amerykański Kongres nigdy nie wydał ani orzeczenia, ani oświadczenia przyznającego mu - jako prawowitemu właścicielowi - ziemię, na której odkryto złoto. Generał nie otrzymał odszkodowania za poniesione straty. Również nikt z jego rodziny nigdy nie upomniał się o jakąkolwiek rekompensatę. Jeszcze można działać, jeszcze można żądać. Kto chce złota? Kto chce złota?

Źródła:

Poemat jest z tomu Adama Lizakowskiego p.t. „156 Listów poetyckich z Chicago do Pieszyc”, wydane przez Urząd Miasta i Gminy Pieszycy w 2012 r.

Powyższy tekst został oparty na książce „Złoto” Blaise Cendrasy wydanej przez Noir sur Blanc w 1999 roku w Szwajcarii.

Thank you very much Mr. Cendras.

Zobacz też:

W pogoni za złotem

Złączył nas czas. Część 2.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem - o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.

■

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

[Redacted text block]

Jarosław Abramow-Newerly:



Fot. Wiktor Zajkowski-Gad

[Redacted text block consisting of multiple horizontal black bars]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Karykatura Jarosława Abramowa-Newerlego narysowana przez Zofię Góralczyk z STS-u (żonę reżysera Jerzego Markuszewskiego), fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[Redacted text block]

To rzeczywiście niezwykła opowieść.

Jarosław Abramow-Newerly, „Ja, ty, oni”, 1975 r., słuchowisko radiowe

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[REDACTED]

W 1985 roku wyjechał Pan wraz z żoną Wandą biologiem z doktoratem z wirusologii do Kanady, gdyż żona dostała tam pracę. Zostawił Pan za sobą artystyczne środowisko, budowane przez wiele lat, kontakty, całe swoje zawodowe życie. Wydawałoby się, że trudno będzie Panu odnaleźć się na emigracji. Ale nie, do satyryka, dramaturga, kompozytora doszła jeszcze jedna profesja - pisarza. Zajął się pan tematem Polaków na emigracji, a umiejętności prozatorskie okazały się kolejnym Pana talentem. Powstały takie książki jak „Kładką przez Atlantyk”, „Pan Zdzich w Kanadzie”, czy historia rodziny Wawrów - polsko-ukraińskich emigrantów w Toronto w książce „Nawiało nam burzę”. Powiedział Pan kiedyś, że dzięki emigracji, stał się Pan prozaikiem.

[REDACTED]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

W jaki sposób?

[Redacted text block]

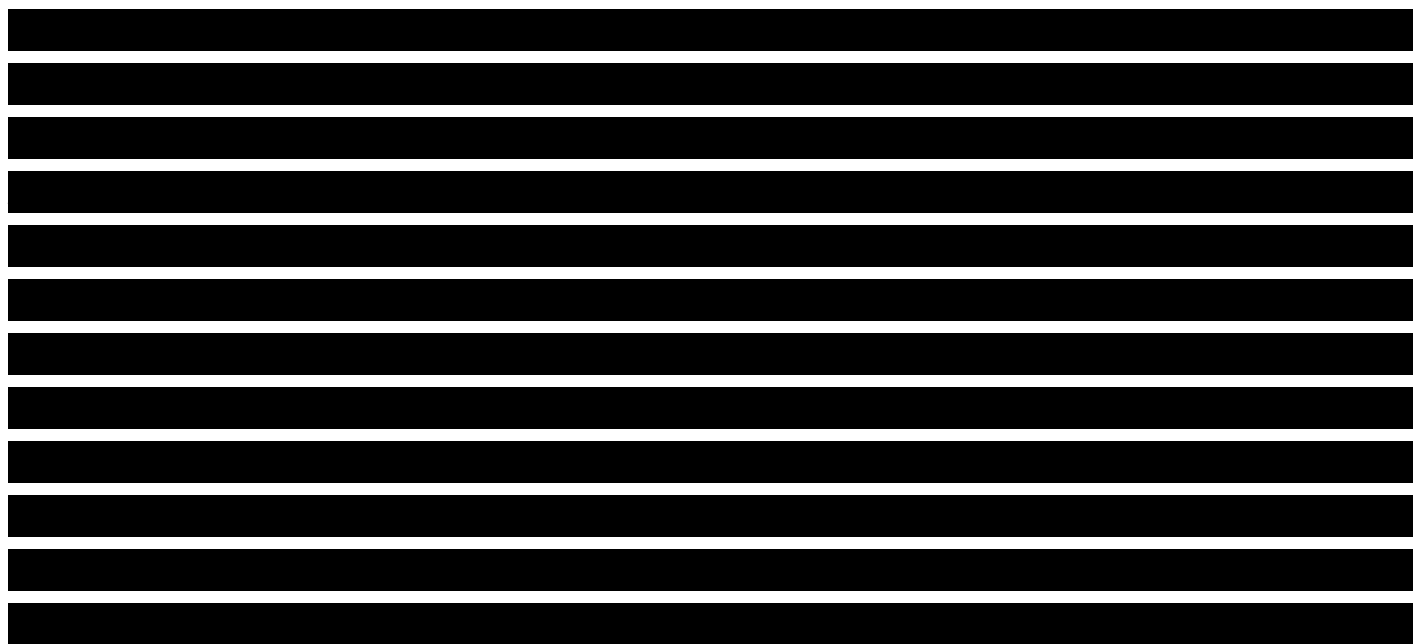
JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY



Pełn Zdzich

**W
KANADZIE**

WYDAWNICTWO POLONIA



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

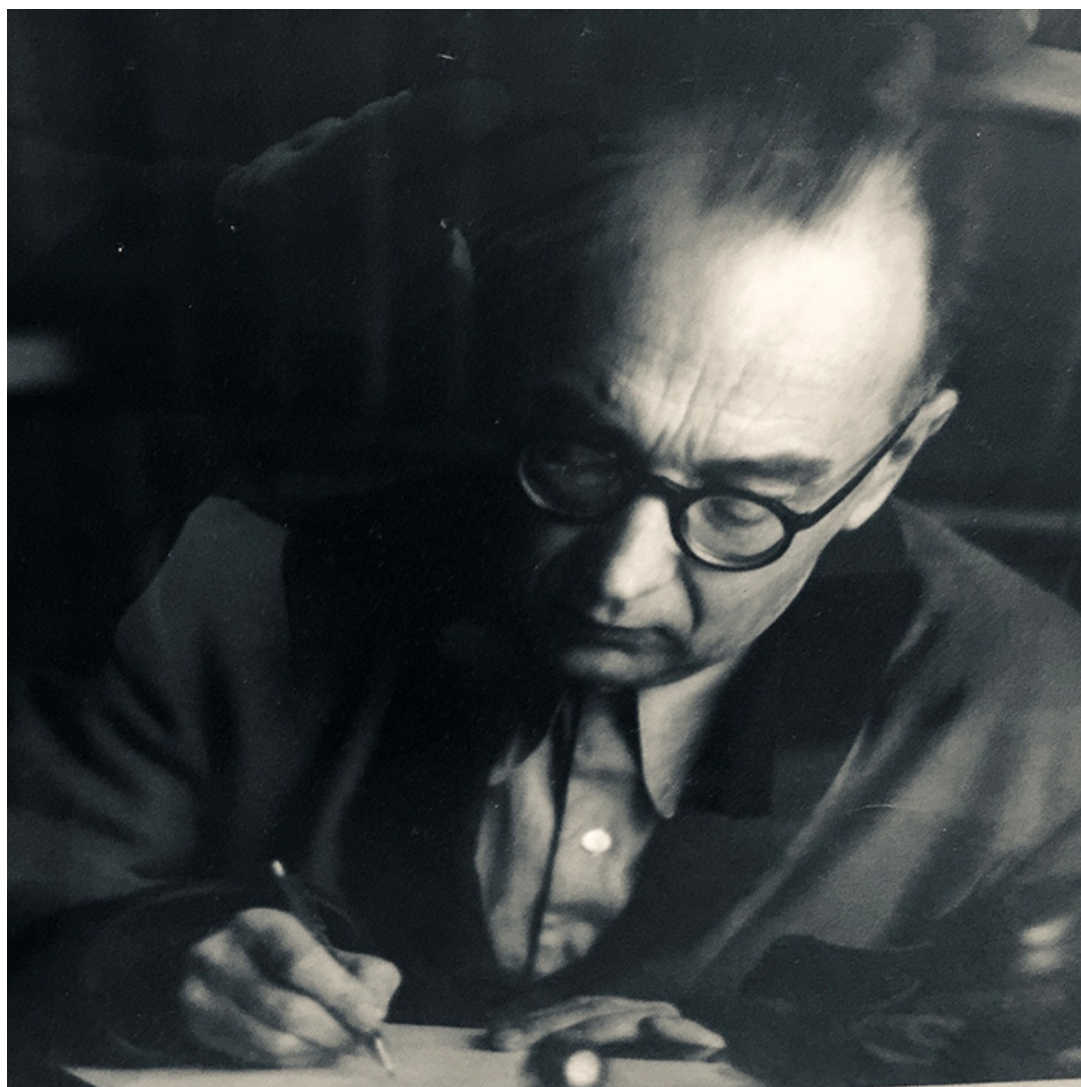
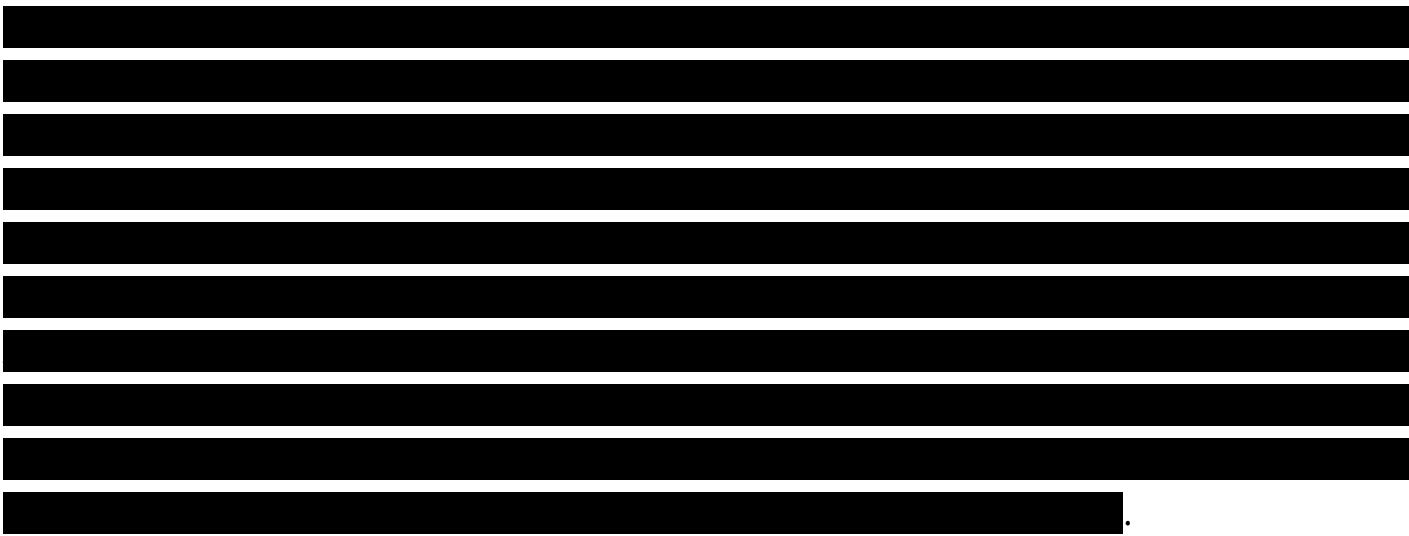
[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Tata, Igor Newerly, fot. Piotr Kirnarski



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

„Bohdan, Bohdan trzymaj się”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Bohdan Łazuka

Część 1:

Złączył nas czas. Część 1.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

O poecie Adamie Zagajewskim

Urodzony 21 czerwca 1945 r. we Lwowie, zmarł 21 marca 2021 r. w Krakowie – polski poeta, eseista, prozaik, przedstawiciel pokolenia Nowej Fali, sygnatariusz Listu 59 (1975), od 1976 objęty cenzurą, w latach 1982–2002 na emigracji we Francji, od 1983 redaktor „Zeszytów Literackich”; laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1975), Międzynarodowej Nagrody Neustadt w dziedzinie literatury (2004) i Nagrody Księżnej Asturii (2017), w latach 1973–1983 członek Związku Literatów Polskich, od 1979 członek Polskiego PEN Clubu, od 2006 członek Polskiej Akademii Umiejętności; nauczyciel akademicki, tłumacz literacki (wikipedia).



Adam Zagajewski (z lewej) podczas spotkania w Teatrze Chopina w Chicago w 2012 r., copyright Adam Lizakowski

Adam Lizakowski (*Chicago-Pieszyce*)

W pierwszy dzień wiosny 2021 r. umarł w Krakowie poeta, laureat wielu prestiżowych nagród literackich w Polsce i za granicą. Zmarł w wieku 75 lat.

Literacki Paryż bardzo mnie interesował z czasem poznałem korespondencyjnie ciekawego człowieka i poetę Macieja Niemca, tam mieszkającego redaktora pisma pt. „Kontakt”, wydawanego przez sławnego w Ameryce wówczas działacza *Solidarności* Mirosława Chojeckiego. Z czasem wysłałem do redakcji fragment dziennika kalifornijskiego i tak rozpoczęła się nasza korespondencja i papierowa znajomość. Natomiast z poetą Adamem Zagajewskim spotykałem się wielokrotnie w Stanach w San Francisco, w Krakowie i po raz kolejny po latach w roku 2011 w Chicago. Zaprosiłem go na lampkę dobrego wina do jednej z restauracji na

Michigan Avenue, niecałe sto metrów od *Chicago Arts Institute*. Po krótkiej rozmowie emigrantów; jak się panu w Ameryce żyje, co nowego w poezji, nad czym pan teraz pracuje, wyjąłem z plecaka trzy kilogramy wierszy z prośbą o napisanie wstępu do mojego zbioru wierszy pt. *156 listów poetyckich z Chicago do Pieszyc*, który planowałem wydać w Polsce, właśnie we wspomnianych już w tytule Pieszcach. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu poeta się zgodził, nawet nie musiałem długo go namawiać, wprawdzie zajęło mu to prawie pół roku, ale napisał. Dołączyłem przedmowę do maila, który wysłałem do Pieszyc, do Wydziału Promocji Miasta, który prowadził i finansował całe przedsięwzięcie i pech chciał, że słowo wstępne poety krakowskiego, gdzieś się zapodziało. Skład redakcyjny tworzyli Paweł Brzozowski, Sławomir Szel, Dawid Cech pracownicy wydziału promocji miasta, dyrektorka biblioteki Lidia Zakrzewska-Strózik, za korektę odpowiadała pani Jolanta Maniecka. Kilka lat później będąc w Krakowie zadzwoniłem do niego z prośbą o spotkanie, ale był zbyt zajęty, jednak wskazał miejsce (kawiarenka), gdzie zostawiłem dla niego ów tomik wierszy, bez wyjaśniania, dlaczego nie ma w nim jego wstępu. Krępowałem się, że tego nie dopilnowałem, bo to był mój obowiązek.

Wstęp pana Zagajewskiego był dla mnie dużą radością i wyróżnieniem i na prawdę bardzo się nim cieszyłem, tym bardziej, że sam mistrz Miłosz zawsze, ale to zawsze mówił o twórczości Zagajewskiego z dużym uznaniem i to publicznie podczas odczytów i prywatnie wśród znajomych. Pamiętam, że raz, a było to w roku 1988 po spotkaniu poetyckim, w którym pan Czesław wygłosił odczyt o poezji polskiej, gdy podszedłem pogratulować mu wystąpienia, ze zmartwioną miną zapytał się mnie, czy mi się podobało? Nie zaskoczył mnie tym pytaniem, bo już na tyle dobrze go znałem, że spodziewałem się takiego pytania. Często pytał się znajomych, co myślą o jego najnowszej książce, odczycie, publikacji czy wierszu, wieczorze autorskim i nawet nie czekając na moją odpowiedź dodał, zapomniałem wspomnieć Staszka Barańczaka. Tak, pan Adam Zagajewski był jego zdecydowanym faworytem bardzo go sobie cenił jako człowieka i poetę.

Moja znajomość z poetą Adamem Zagajewskim trwała ponad 25 lat, a poeta swoim „stwierdzeniem, poznałem Lizakowskiego dzięki Miłoszowi” zawsze w towarzystwie „zamykał mi usta”. Pan Adam należał już do chyba jednych z ostatnich ludzi, których poznałem w towarzystwie pana Miłosza mieszkając w San Francisco i studiując w Berkeley.

Jego śmierć jest i będzie wielką stratą dla polskiej poezji.

Fragment eseju pt. „Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą”.

Galeria

Zdjęcia Adama Zagajewskiego są autorstwa Adama Lizakowskiego, zostały zrobione podczas spotkania w Teatrze Chopina w Chicago w 2012 roku, copyright Adam Lizakowski.











Złota reneta



Akwarela, fot. azazelok z Pixabay

Ryszard Sawicki (*Namysłów*)

Pokój, w którym spędziłem ponad dwadzieścia lat życia był na pierwszym piętrze willi z ogrodem i miał balkon z oszklonymi drzwiami. Obok drzwi były jeszcze dwa okna. Za oknem po lewej stronie drzwi rosła złota reneta. Widać ją lepiej przez okno małego pokoju, który zajmowała ciotka Stefa, starsza siostra matki, która wychowała mnie i mego młodszego brata. Większy pokój zajmuje teraz ojciec, a ja zajmuję mniejszy pokój ciotki kiedy tylko jestem gościem u rodziców we Wrocławiu. W pokoju jest szafa na odzież, ta sama, w której trzymała wszystkie swoje rzeczy ciotka, a także półki z książkami, stolik i wąskie łóżko. Na ścianach pomieściłem dużo obrazów, chociaż powierzchnia ścian jest ograniczona.

Za oknem po prawej stronie widać od zewnątrz ścianę domu oddzielającą obydwa pokoje, naprzeciw dęby w parku po drugiej stronie ulicy, a po lewej złotą renetę. Zewnętrzną powierzchnię ściany domu tworzą kwadraty jasnego tynku, między którymi są czarne, smołowane belki. Nad nią widoczny jest fragment dachu. Gdy bywam u rodziców, patrzę na renetę i na drzewa w parku, mam ten sam widok, który

miała ciotka Stefa przez ponad trzydzieści lat. Po wojnie, w czasie której ona, jak i najstarsza siostra matki, Jana, straciły mężów, ciotka Stefa zamieszkała u nas i zajmowała się mną i bratem, robiła zakupy stojąc w długich kolejkach, które formowały się codziennie przed sklepami w latach pięćdziesiątych, gotowała i sprzątała w czasie gdy matka była w pracy, a także podczas jej paroletniej rekonwalescencji po chorobie i operacji jakie przeszła po urodzeniu brata. Wieczorami rodzice bywali zmęczeni i nie mieli ochoty na zabawy z dziećmi. Ojciec przychodził późno, bo pracował zwykle dłużej by dorobić do marnej pensji. Matka często nie czuła się najlepiej. Tylko w niedzielę ciotka mogła od nas odpocząć, bo wyjeżdżaliśmy zwykle do dziadków, rodziców ojca, którzy mieszkali w Trzebnicy, małym mieście położonym dwadzieścia kilka kilometrów na północ od Wrocławia. Kiedy wracaliśmy do domu, mówiliśmy jej dobranoc, czasem przez zamknięte już drzwi pokoju, czasem wchodziliśmy i opowiadali o tym co się zdarzyło po drodze i na miejscu.

Dojeżdżaliśmy do Trzebnicy wąskotorową lub normalną koleją, a w późniejszych latach autobusami. Najbardziej lubiłem wąskotorową kolejkę, bo jechała wolno, zatrzymywała się często na przystankach, na których wsiadali ludzie ubrani i mówiący nieco inaczej niż ludzie w mieście, a przez okna można było oglądać krajobraz, zrazu nizinny, podmiejski, po kilkudziesięciu minutach pagórkowaty, urozmaicony. W dni pogodne widać było na horyzoncie sylwetkę samotnej Ślęzy, a nawet zaczynające się za nią pasmo wyższych gór. Zawsze próbowałem zgadnąć jak daleko tym razem będzie można sięgnąć wzrokiem, ale rzadko udawało mi się, dzięki czemu widok zaskakiwał czymś nowym. Niekiedy były to burzowe chmury nadchodzące od zachodu, niekiedy piękny zachód słońca, a w jesieni lub na wiosnę warstwa ciężkiej mgły, która była zwykle szara, lecz w szczególnych okolicznościach zabarwiała się czerwienią zachodu lub jaśniała pod bezchmurnym niebem.

Opowiadaliśmy ciotce o ładnym zachodzie lub o gościach, których nigdy nie brakowało u dziadków. Na wiosnę mieliśmy dla niej nowiny o kwitnących podmiejskich sadach, a jesienią o kolorowych lasach bukowych. Dolina Trzebnicy położona była za Wzgórzami Trzebnickimi, więc miała nieco inny klimat. Drzewa owocowe kwitły tam trochę później lub wcześniej niż w ogrodach willowych dzielnic Wrocławia. Wtedy ciotka mówiła nam o ogrodzie przy domu jej i matki rodziców, Heleny i Stefana Czekanowskich w Buczaczu. O tym, jak bawiły się z czterema

innymi siostrami, w tamtym ogrodzie, w tamtych pięknych, przedwojennych latach. Jak wchodziły na drzewa, żeby zrywać czereśnie, wiśnie, jabłka i gruszki. O tym, jak ciotka Wiesia spadła z gałęzi, ale na szczęście nic jej się złego nie stało. O tym jak wspaniałe były zbiory owoców ze wszystkich drzew z ogrodu, który położony był na stoku doliny Strypy. Legendę ich dzieciństwa powtarzała każda z ciotek na swój sposób, gdy do nas przyjeżdżały. Opowieści ciotki Stefy powtarzała też matka, ale to Ciotka Stefa miała najwięcej do powiedzenia, bo mogła porównać pracę w buczackim i wrocławskim ogrodzie. Po wojnie i utracie domu, ciotka Stefa starała się odtworzyć namiastkę ich utraconego raj. Pielęgnowała róże i dalie, siała marchewkę i sałatę. W tych wiosennych zasiewach pomagaliśmy jej czasem z bratem. Jednak tylko renety sprzed okna jej pokoju uznawała za porównywalne do jabłek z Buczacza. Podobnie jak i matce, brak jej było krzewów jaśminu i bzu otaczających dom, bo cóż to znaczyły dwa gatunki bzu i tylko jeden krzew jaśminu.

Gdy obrodziły trzy jabłonie we wrocławskim ogrodzie, ciotka próbowała robić wino z jabłek. Było jednak zwykle za kwaśne albo zamieniało się w ocet. Z drzew buczackich jabłka były znacznie lepsze, komentowała ciotka. Jesienią jadała renety. Obierała je powoli, starannie, a potem starała się by na ogryzku nie zostało zbyt wiele mięszu. Najbardziej cieszyło ją kwitnące na wiosnę drzewo. Wtedy wołała mnie i brata i pokazywała jak wschodzące słońce prześwietla tonącą w białych kwiatach koronę drzewa. Patrzcie, to prawie jak w Buczaczu, mówiła i milkła, pogrążając się we wspomnieniach. Cóż mogliśmy wiedzieć o tamtym nieistniejącym ogrodzie. Niewiele, ale powinniśmy byli zapamiętać, że był taki ogród, w którym sześć dziewcząt z koleżankami mogło zniknąć z oczu rodziców i tylko głośne nawoływania pozwalały przekonać się, że żadna nie wdrapała się za wysoko, ani nie robi czegoś równie niebezpiecznego. Opowieści ciotki Stefy wydawały się nam najprawdziwsze, bo to jej pomagaliśmy przy pracy w ogrodzie we Wrocławiu. Zamyśloną nad obrazami z wiosennego ogrodu pamiętam ciotkę najlepiej.

Jabłoń za moim oknem miała w tym roku szczególnie wiele jabłek. Ojciec starannie poukładał je na strychu i w piwnicy. Nawet zwycięsko walczył z myszami, które się dowiedziały o zbiorach. Matka twierdzi jednak, że i w tym roku renety nie były najlepsze. Lato było zbyt suche, jesień zbyt deszczowa. Kiedy spadały z drzewa i kiedy zrywałem je przy pomocy płóciennego worka zawieszzonego na długim kij, co wieczora zjadałem kilka złotych renet. Zaraz po zerwaniu z drzewa były najlepsze,

twarde i soczyste. Ale i teraz jem je z przyjemnością. Oczywiście nie mogę porównać tych renet do tamtych, z buczackiego ogrodu. Mogę tylko sądzić, że są porównywalne. I mogę powtarzać sobie w myśli zapewnienia ciotek i matki. A także powtarzać za Rilkiem fragment dziewiątej elegii duinejskiej. Te o drzewie i oknie. I o tym, że może jesteśmy tu właśnie po to, by wymawiać takie proste słowa jak dom, most, fontanna, brama, dzban... drzewo owocowe, okno. Albo, najwyżej: kolumna, wieża. Ale przede wszystkim: dom, drzewo, okno. Powinniśmy powtarzać takie słowa choćby samym sobie.

Ryszard Sawicki, urodzony w Kamiennej Górze, wrocławianin, w latach 1977-1994 mieszkał i pracował w Stanach Zjednoczonych. Artysta, pisarz, tłumacz. Ukończył Uniwersytet Wrocławski, bibliotekoznawstwo. **Techniki:** malarstwo sztalugowe, pastele, akwarele, grafika, heliograviura. **Wystawy:** indywidualne i grupowe w Stanach Zjednoczonych, Europie i Azji. **Prace w zbiorach:** Uniwersytet Toruński (Archiwum Emigracji), Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, Carmel Art Association (Carmel, CA). **Publikacje:** eseje, opowiadania, artykuły i wiersze w takich pismach jak: *le Temps Pluriel* (Paryż), *Wiadomości* (Londyn), *Twórczość* (Warszawa), *Zeszyty Literackie* (Paryż-Warszawa), *Format* (Wrocław), *Środa Literacka* (Londyn). **Nagrody:** złoty i srebrny medal za portrety (IPA, Washington, D.C.: 1986, 1987). **Członkostwo:** Carmel Art Association (1993-), International Platform Association (1986-1994). **Wymieniony w:** Polish American Who's Who, Directory of American Portrait Artists.

Złączył nas czas. Część 1.

Rozmowa z Jarosławem Abramowem-Newerlym, kompozytorem, satyrykiem, dramatopisarzem, pisarzem - o ludziach, wydarzeniach i sytuacjach, które pozostały w pamięci.



Jarosław Abramow-Newerly, fot. Marek Nowicki

Joanna Sokołowska-Gwizdka: *(Austin, Teksas)*

Z Pana wszechstronną twórczością zarówno poetycką, jak i kompozytorską zetknęłam się podczas spektaklu Salonu Poezji, Muzyki i Teatru Marii Nowotarskiej pt. „Dopóki śpiewam ja” w 2002 r. Do Toronto, które miało stać się moim nowym emigracyjnym domem, przyjechałam w 2001 roku. Jakim więc szczęściem było dla mnie odkrycie, że w Kanadzie są nie tylko wybitni polscy twórcy, ale i polskie gazety. Mając doświadczenie zarówno akademickie, jak i dziennikarskie mogłam natychmiast włączyć się w nurt twórczości polskiej poza krajem. Spektaklem byłam oczarowana. Znałam wykonywane na scenie w Toronto wielkie przeboje, wiele razy słyszałam je w Polsce, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to Pan jest autorem większości z nich, zarówno tekstu, jak i muzyki. Znamy dobrze wykonawców, bo to z nimi mamy bezpośredni kontakt, a autorów mniej. Jak to jest, kiedy

utwór, który się stworzyło, wchodzi na stałe w powszechny obieg, będąc zapisem i ikoną pewnego czasu? Co czuje wtedy autor?

Jarosław Abramow-Newerly: (*Toronto*)

Ilekcroć słyszę, że jestem znanym autorem, to przypomina mi się opowieść mojego Ojca Igora Newerlego, który opowiadał, jak w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku wysyłano pisarzy w teren na wieczory autorskie. I na jednym takim wieczorze w dużej hali fabrycznej organizator tego spotkania, działacz kulturalno-oświatowy zaprezentował Ojca tak: - *Witamy sławnego pisarza*, po czym nachylił do Ojca i szeptem spytał: - *Przepraszam, a jak nazwisko?* Od tej pory z tą pisarską sławą jestem ostrożny.

Ale wracając do Pani pytania w sprawie piosenek to na pewno najbardziej cieszyłem się kiedy usłyszałem w radio moją piosenkę, gdy byłem bardzo młody, jak i teraz kiedy jestem bardzo stary. Miło mi bowiem, że te piosenki wciąż żyją i są śpiewane, chociaż niektóre z nich liczą sobie ponad pół wieku. I ma Pani absolutną rację, że na ogół znamy piosenkę, a nie wiemy kto ją stworzył. Powiedziałbym nawet, że im piosenka jest bardziej znana tym bardziej staje się własnością ludu i jest anonimowa. Przykładem pieśń harcerska i biesiadna „Płonie ognisko i szumią knieje”. Wszyscy ją znamy, a mało kto wie, że jej autorem jest poeta Jerzy Braun, stryj reżysera i pisarza Kazimierza Brauna.

Pisząc książkę o scenie polskiej w Toronto „Teatr spełnionych nadziei” poznałam też z nagrań wcześniejszy spektakl poświęcony Pana twórczości „Bo ja tak mówiłem żartem” z 1996 r. Jak Pan wspomina te dwa Pana benefisy w Toronto i czym zaowocowały?

Tę Pani książkę uważam za niezwykle cenną. Ocala bowiem pamięć o wspaniałej działalności Marii Nowotarskiej i stworzonego przez Nią Salonu Poezji, Muzyki i Teatru. Maria Nowotarska ułożyła z moich piosenek dwie rewie i wystawiła je niezwykle profesjonalnie. Te spektakle były na tyle udane, że publiczność była pewna, że w tym kształcie przeniesione zostały z jakiegoś teatru w Warszawie, tymczasem było to oryginalne dzieło reżyserskie Marii Nowotarskiej. Jako aktorka brawurowo odśpiewała i odtańczyła moją piosenkę: - *Jestem wiecznie młoda koza, nie mimoza, nie skleroza, chociaż kończę dziewięćdziesiąt dziewięć lat! Do stu lat*

brakuje roczek, śpiewając go przeskoczę, ale błagam ja nie lubię takich dat! Na potrzeby tych rewii napisałem specjalnie walca na koloraturowy sopran Marii Knapik-Sztramko, która w tej rewii z powodzeniem wystąpiła, a także „Marsza Don Kichotów”, którego sam zaśpiewałem. Tekst tego marsza szczęśliwie zacytowała Pani w swojej książce dzięki czemu ocalał.

„Dopóki śpiewam ja”, słowa i muzyka Jarosław Abramow-Newerly, śpiewa Jerzy Połomski

Polem realizacji Pana talentu zarówno kompozytorskiego, jak i jako autora tekstów piosenek oraz skeczów stał się słynny Studencki Teatr Satyryków - kuźnia talentów, z którym był Pan związany od 1954 do 1969 roku. STS był antidotum na socjalistyczną rzeczywistość, wentylem bezpieczeństwa dla młodych, zdolnych, pełnych pomysłów ludzi. Pana twórczość z okresu STS-u znalazła się w publikacji „Myślenie ma kolosalną przyszłość” (1957).

To była debiutancka książka zawierająca teksty z STS-u moje, Agnieszki Osieckiej, Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Tytuł pochodził z nazwy jednego z naszych programów i zrobił taką karierę, że stał się potocznym powiedzeniem i zawędrował do książki Henryka Markiewicza i Anrzeja Romanowskiego „Skrzydlate słowa”.

O tym czasie napisał Pan piękną książkę „Lwy STS-u”, w której opowiada Pan o historycznych już postaciach i opisuje wiele bardziej lub mniej znanych wydarzeń. Jakby teraz, po latach, podsumował Pan to, co dał Panu STS?

STS mnie uformował jako satyryka, kompozytora i aktora. We wczesnej młodości chciałem zostać aktorem. Nawet przygotowywałem się w 1953 roku do egzaminu na PWST razem z moim kolegą ze szkoły Marianem Jonkajtysem. W ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem na egzamin. On zdał i został aktorem. Mnie zaś z aktorstwa wyleczył STS. Tam dużo grałem i śpiewałem w naszych operetkach. Po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że dużo lepiej jest pisać niż występować i mieć wieczory zajęte. Dużo większą satysfakcję dawało mi siedzenie na widowni i obserwowanie reakcji publiczności na moje utwory. Teatr jest okrutnym weryfikatorem tekstu. I albo publiczność klaszcze i się śmieje, albo milczy i chrząka ze znudzenia. Dzięki STS-owi uwierzyłem we własne siły. Odnalazłem własną

wartość i przestałem być tylko synem sławnego Ojca. Podpisywałem się Abramow i nikt nie wiedział, że słynny pisarz Igor Newerly to mój Ojciec.

Mówił Pan, że mama miała talent muzyczny, a tata pisarski. Tata opowiadał Panu bajki, a mama śpiewała. Czy z domu wyniósł Pan tę wszechstronność?

Na pewno zdolności muzyczne odziedziczyłem po swojej Mamie. Ona była przed wojną nauczycielką śpiewu i główną śpiewającą aktorką kukielkowego Teatru „Baj”. Jeszcze jak byłem w wózku wspiewywała we mnie różne piosenki. Bardzo się zdziwiła, kiedy nagle, jeszcze nie mówiąc, powtórzyłem za nią znaną biesiadną piosenkę „Za dzień, za rok, za chwilę razem nie będzie nas”, pohukując w takt słów „uu uu uuu, uuuuu bu!”



Mama, pani Basia – Barbara z Jareckich, fot. arch. J. Abramowa-Newerlego

Mając pięć lat ułożyłem pierwszy swój utwór muzyczny „Galop koni” Opus 1, słowem zapowiadałem się na Mozarta. Niestety miałem bardzo duże kłopoty z czytaniem i pisanem nut. I nic z tego nie wyszło. Ale miłość do pisania piosenek pozostała. I rozkwitła właśnie w STS-e. Co śmieszniejsze do STS-u zaproszony zostałem jako

kompozytor. Napisałem wtedy do tekstu wydrukowanego w „Po prostu” walca „Na UW, na UW, na UW - chcesz coś dostać, musisz postać dłużej tu!”, który był śpiewany przez naszą studencką polonistyczną grupę. Na jakiejś wieczornicy podszedł do mnie Marek Lusztig i powiedział: - *Słyszałem, że skomponował kolega walca. Może przyjdzie kolega na próbę do naszego Studenckiego Teatru Satyryków.* I tak w marcu 1954 roku dołączyłem do grupy STS-u przyprawdzając ze sobą z kolei moich przyjaciół z polonistyki Andrzeja Jareckiego i Witolda Dąbrowskiego. Na pewno to, że zostałem kompozytorem w dużym stopniu zawdzięczam naszemu niezapomnianemu kierownikowi muzycznemu Markowi Lusztigowi, który tych moich amatorskich kompozycji nie wyśmiał, tylko poważnie potraktował. Dzięki Niemu uwierzyłem w swoje kompozytorskie możliwości i z radością komponowałem piosenki i operetki. Miałem wrodzony dar układania chwytliwych melodii. Byłem jednak tak zwanym kompozytorem gwizdany. Tego określenia zwykł używać Władysław Szpilman, z którym jako literat pracujący w radio, zasiadałem w komisji oceniającej nadsyłane piosenki. Szpilman siadał do pianina i przegrywał zgłoszoną fortepianówkę. Jak była napisana z błędami zwykł mawiać: - *To jest kompozytor gwizdany. Musi się trochę jeszcze pouczyć* - i dyskwalifikował utwór.

W 1961 roku napisałem dla STS-u muzykę do przedstawienia „Oskarżeni” Andrzeja Jareckiego i Agnieszki Osieckiej. W sumie dwanaście piosenek, które brawurowo zaśpiewali Alina Janowska i Wojciech Siemion. Z „Oskarżonych” pochodzą takie znane piosenki jak „Widzisz mała jak to jest”, „Polka kryminalna” czy „Ballada o Chmielnej” Agnieszki Osieckiej. Zaprosiłem na premierę Władysława Szpilmana. Po przedstawieniu uścisnął mi rękę i powiedział: - *No, panie Jarku. Muzyka się Panu udała. Gratuluje.* - *To właśnie ja jestem tym kompozytorem gwizdany, panie Władysławie* - odparłem. Szpilman się zaśmiał i powiedział: - *Czasem zdarzają się wyjątki.*



Jarosław Abramow-Newerly z Agnieszka Osiecką, w głębi w głębi aktor Marian Kubera, fot. Sławomir Biegański, z arch. J. Abramowa-Newerlego.

Pana doświadczenie jako satyryka zaowocowało powstaniem szeregu jednoaktówek, spektakli teatralnych, słuchowisk radiowych, sztuk pisanych dla Teatru Telewizji. Poruszał w nich Pan problemy mitów społecznych, przemian obyczajowych, konfrontację tradycji z nowoczesnością. Pana sztuki takie jak „Derby w pałacu”, „Darz bór”, „Słowik Warszawy”, weszły już na stałe do kanonu literatury polskiej. Za sztukę „Anioł na dworcu” otrzymał pan nagrodę im. S. Piętaka (1965) i nagrodę fundacji im. Kościelskich (1967). Kazimierz Braun przypomniał, że reżyserował Pana sztukę „Żaglowce, białe żaglowce” w 1970 r. w doborowej obsadzie (Fijewski, Zaczyk, Rudzki) w Teatrze Telewizji, a potem sztukę „Klik, klak” w 1973 r. teatrze w Lublinie.

Oglądałem niedawno „Żaglowce, białe żaglowce” w finezyjnej i doskonałej reżyserii

Kazimierza Brauna. Znakomicie tę sztukę obsadził. Przypomnę, że sztuka ta dotyczy spotkania po latach kolegów z jednej klasy, a ściślej dwóch przyjaciół. Głównego bohatera, w którego eleganckim mieszkaniu odbywa się to spotkanie, przezywanego w szkole Gruchą oraz prymusa klasy Jędrusia Górniaka. Pierwowzorem „Żaglowców” był skecz z STS-u „Zjazd koleżeński”. W skeczu tym i w sztuce pada kwestia. Jeden z byłych uczniów rozgląda się po klasie i mówi: - *Coś mało nas, kurka wodna*. Wtedy w skeczu to był żart. Teraz po latach smutna prawda. Czołowy aktor STS-u Ryszard Pracz do dziś lubi to zdanie powtarzać na wszystkich zjazdach STS-u. Ze znakomitej obsady „Żaglowców” żyją już tylko trzy osoby - ja, Kazimierz Braun i Irena Szczurowska, która była wtedy młodą, piękną dziewczyną. W tym spektaklu starego profesora Puchaczewskiego, przezywanego Puchaczem zagrał wielki polski aktor Kazimierz Opaliński. Miał on niezwykle dar w prosty sposób wywoływać wzruszenie.

Była to wtedy ostatnia jego rola w telewizji. Byłem na nagraniu tego spektaklu. Wówczas aktorzy grali na żywo i jak ktoś się pomylił, to trzeba było zaczynać od początku. Opaliński w swojej kwestii się pomylił i aktorzy musieli zacząć grać od nowa. Uczynili to bez szemrania z wielkiego szacunku dla swojego starszego kolegi, uznanego za swego mistrza. W pewnym momencie stary Puchacz wywołuje do tablicy byłego ucznia, obecnie majora Ludowego Wojska Polskiego i zaczyna pytać o lewe dopływy Wisły. Ten oczywiście nie pamięta. - *Lewe?* - próbuje zagadywać. - *Tak lewe* - odpowiada profesor. - *Ale licząc od gór czy od morza? To znaczy od dołu czy od góry?* - *Jak ci wygodnie. Byle były wszystkie* - mówi profesor. Rolę tę wybornie zagrał Henryk Borowski. Stał z baranią miną i strzygł uchem jak koledzy w ławkach mu podpowiadają. Najgłośniej podpowiadał obecny ksiądz, którego profesor musiał uciszyć. Księdza tego grał Lech Ordon, aktor o niezwykle dobrodusznym wyglądzie. Ilekroć się z Ordonem po latach spotykałem to zawsze wspominał: - *Pamięta Pan nasze „Żaglowce”? To była sztuka!* - wykrzykiwał.

Jedynym uczniem pamiętającym zasady moralne, których uczył stary Profesor był Jędrus, prymus klasy, którego wyśmienie zagrał Tadeusz Fijewski. - *Kim jesteś teraz, Jędrus?* - pyta wzruszony profesor. - *Trzymam taksówkę, panie profesorze* - odpowiada Fijewski z bolesną miną. Dla Kazimierza Rudzkiego, który grał adwokata i u kolegi dyrektora generalnego, wysokiego działacza partyjnego, szukał poparcia, żeby wstąpić do Zbowidu, czyli Związku Kombatantów, musiałem dopisać rolę, bo nie chciał wystąpić w epizodzie. Cenzura nie puściła Zbowidu i musiałem go zastąpić

Polskim Związkiem Kajakowym. Chciałem, żeby ten wysoki działacz partyjny był ministrem, ale to wówczas było niemożliwe. Nie mniej Witold Kałuski doskonale zagrał takiego zadowolonego z siebie dygnitarza.

Prawdziwą kreację w „Żaglowcach” stworzył Adam Mularczyk, aktor o diabolicznym wyglądzie i charakterystycznym głose, który wślawił się rolą konia w pamiętnym przedstawieniu „Czekając na Godota” Samuela Becketta w reżyserii Jerzego Kreczmara w Teatrze Współczesnym w Warszawie oraz rolą Profesora Pęduszki w Radiowym Teatrze „Eterek” Jeremiego Przybory. Adam Mularczyk w pewnym czasie zrezygnował z aktorstwa i wraz żoną, naukowcem wirusologiem Zofią Wróblewską, koleżanką z pracy mojej Żony Wandy w Państwowym Zakładzie Higieny w Warszawie, wyemigrował do Ameryki i osiadł w klasztorze Częstochowa pod Filadelfią. Tam założył teatr. Podczas okupacji pracował w teatrze razem z Karolem Wojtyłą.

Adam opowiadał mi, że jak kardynał Wojtyła przyjechał do Filadelfii i spotkali się razem, to przyszedł papież wykrzyknął: - *Adam! Ty tu?* - *A ja odkrzyknęłam: - Lolek! Ty też tu?* - i rzuciliśmy się sobie w ramiona. Jeden z zakonników, który bardzo dokuczał w pracy Adamowi podszedł do niego i spytał z podziwem: - *Pan zna kardynała?* - *A ja odwróciłem się do niego i powiedziałem dwa słowa: - „Odpierdol się”!*

Adam był bardzo żywiołowy i dowcipny. Teraz gdy oglądałem ten wspaniały spektakl to nie mogłem się nadziwić jak głęboko poruszyliśmy z Braunem problem czasu. Byliśmy obydwaj młodzi, mieliśmy po trzydzieści parę lat i na własnej skórze nie przeżyliśmy problemu starości, o którym mówił profesor do swoich uczniów: - *Po coście tu przyszli. Złączył was czas! Ten największy hycel. Przeglądacie się jeden w drugim i sprawdzacie czy jeszcze żyje.*

W puencie sztuki taksówkarz Jędrus mówi do swojego kolegi, głównego bohatera: - *Zastanów się, Grucha, dlaczego ty zrobiłeś karierę, a ja nie!?* I to jedno zdanie cenzura kazała mi wykreślić. Pojechałem do telewizji. Przyjęła mnie bardzo serdecznie dyrektor Teatru Telewizji Irena Bołtuć i w bardzo oględny sposób prosiła, żebym to zdanie usunął. - *Ależ pani Ireno? Bez tego zdania nie ma mojej sztuki!* - broniłem się. - *Ja świetnie rozumiem. Ale taki nakaz mamy z góry!* - argumentowała.

W końcu doszło między nami do ugody i zostało skreślone jedno słowo, mianowicie „Nie”. Ale Fijewski tak to świetnie zagrał i machnął z rezygnacją ręką, że dla wszystkich było jasne dlaczego nie zrobił kariery w PRL. Był synem aptekarza w przeciwieństwie do Gruchy, Stanisława Zaczyka, który miał doskonale pochodzenie społeczne. Dziś sądzę, że to jedno końcowe zdanie Irena Bołtuć puściła na własną odpowiedzialność. Wiem też, że po nadaniu spektaklu miała przykrości. Mianowicie zaprotestowało Ludowe Wojsko Polskie twierdząc, że w sztuce ośmieszyłem polskiego oficera.

Jarosław Abramow-Newerly, „Żaglowce, białe żaglowce”, reż Kazimierz Braun, 1970 r., Teatr Telewizji

Tak długo rozgadałem się o „Żaglowcach”, bo uważam ten spektakl za jeden z najlepszych w moim życiu i dziękuję za niego Kazimierzowi Braunowi. Potem w 1972 roku spotkaliśmy się razem w mojej sztuce „Klik-Klak”, którą Kazimierz Braun wyreżyserował jako dyrektor Teatru imienia Juliusza Osterwy w Lublinie. Warto przypomnieć, że z jego inicjatywy przystąpiono w Lublinie do budowy nowego gmachu teatru.

Po wystawieniu w stanie wojennym głośnego spektaklu „Dżuma” według książki Alberta Camusa Kazimierz Braun został pozbawiony dyrekcji Teatru Współczesnego we Wrocławiu i wyemigrował wraz z rodziną do Stanów Zjednoczonych. Tu został profesorem na Uniwersytecie w Buffalo. I szczęśliwy los zetknął go z Marią Nowotarską i Agatą Pilitowską, dla których napisał wspaniałe sztuki teatralne. „Helenę - rzecz o Modrzejewskiej”, „Tamarę L” o słynnej polskiej malarce Tamarze Łempickiej, dalej sztukę o Marii Curie-Skłodowskiej i aktorce Poli Negri, słowem o Polkach emigrantkach, które zrobiły światową karierę. Jednocześnie stał się na emigracji moim kolegą dramaturgiem. Dziwny los sprawił, że ja w Kanadzie z dramaturgiem przerodziłem się w prozaika, a on z reżysera w dramaturgiem.

31 stycznia 2021 roku odbyło się spotkanie z Jarosławem Abramowem-Newerlym przez platformę Zoom w ramach Klubu Historyka Austin Polish Society w Teksasie. Obecny wywiad utrwała oraz uzupełnia to, o czym rozmawialiśmy podczas spotkania (Joanna Sokołowska-Gwizdka).

Część 2:

Złączył nas czas. Część 2.

Zobacz też:

W krzywym zwierciadle Jarosława Abramowa-Newerlego

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” - fragment książki

Danuta Błaszak (*Floryda*)



Fot. Jill Wellington z Pixabay

13 listopada, środa. U mamy na Bielanach

Nie podejmuj pochopnych decyzji. Zadzwoń i powiedz przepraszam. Zerwiesz z panem Romualdem i jak sobie poradzisz? - mama Jolki była wyraźnie zdenerwowana. - Z czego zapłacisz rachunki?

- Dlaczego z nim zrywasz? - dociekała ciocia Roma. - Może to jeszcze da się naprawić.

Jolka Kuźmicka, 32-letnia wysoka blondynka, przyszła pomóc swojej mamie w porządkach. Ciemny blond ze złotymi pasemkami, profesjonalnie zrobiona fryzura. Jolka: wąskie biodra, drobne piersi, a z tyłu zaokrąglone pośladki. Dość duża miękka pupa, jakby trochę nie pasowała do tego, co z przodu.

Mieszkanie już lśniło czystością. Dwa małe pokoiki i znacznie większy salonik, w którym teraz kończyła sprzątanie. Pozostał jeszcze duży wełniany dywan w tureckie wzory. Mieszkanie umeblowane niekonsekwentnie, można powiedzieć, że z brakiem

gustu. Przy ścianach regały z książkami pochodzące jeszcze z czasów, kiedy ludzie chcieli mieć w domu książki. Grubo ciosane drewniane półki obok meblościanki „Kowalskiego”. Z sufitu opadał duży żyrandol z kryształowymi wisiorami, piękny, jak z dawnych królewskich pałaców. Szesnaście punktów oświetleniowych, małych żaróweczek, i mosiężne ramiona też lśniły czystością. Mieszkanie było dość wysokie jak na postkomunistyczne budownictwo, a projekt żyrandola był przygotowany na sale pałacowe i dziadek Jolki wiele lat temu musiał skrócić, a może odciąć, długi złoty łańcuch, który pierwotnie łączył żyrandol z sufitem.

Jolka włączyła odkurzacz.

W telewizji powtarzali reportaż z wiosennych pokazów lotniczych. Na dużym ekranie płaskim jak ściana kolorowe balony, samoloty ze smugami dymu, spadochroniarze trzymający się za ręce... Nikt tutaj tego nie oglądał. Matka lubiła, żeby telewizor był włączony i rzadko zmieniała kanały.

Nawet w tym hałasie, przy warkocie odkurzacza i głośnej muzyce dochodzącej z telewizora, słowa matki docierały do niej z przeraźliwą wyrazistością.

- Jak żył twój ojciec, wódka była na stole, nie pieniądze. Chciałabym, żebyś potrafiła docenić to, co robi dla nas pan Romuald - powiedziała mama.

To było za mocno powiedziane i ciocia Roma, która siedziała do tej pory cicho w fotelu, musiała zareagować.

- Stefa, ty na świętej pamięci Xawerego nie wygaduj takich rzeczy. Nie potrafił zarobić, i zawsze było u was krucho z pieniędzmi, ale pijakiem nigdy nie był.

- Przypomnij sobie, Romka, jego kolegów. Wymiotowali do naszej wanny. Jeszcze teraz emalia odchodzi w tych miejscach, gdzie próbowałam odkazić chlorem.

- To było okazyjnie - sprostowała ciocia. - Co innego niż być pijakiem. Pili okazyjnie, a wymiotowali tylko raz. Ten bimber, który załatwiła Kwietka, pochodził z niepewnego źródła.

- No tak - zgodziła się mama. - Bimber nie był z Łomianek, tylko z jakiegoś innego miejsca.

- I myśmy też wtedy chorowały - dodała ciocia. - Pamiętam, parzyłaś herbatkę miętową. Nawet ty piłaś, Stefa, chociaż bierzesz te swoje pigułki i lekarz mówi, że nie powinnaś.

Jolka pomyślała, że nigdy w życiu nie znała żadnej pani, która nazywała się Kwietka i załatwiała bimber, ale to może było dawno, jak jeszcze była dzieckiem. Nie zapytała, to nie było ważne.

Jolka bała się zostać bez pieniędzy i to wydawało się teraz najważniejsze. Jej „narzeczony”, jak czasem mówiła mama, albo po prostu pan Romuald, umiał się zachować. Zawsze, kiedy odwiedzał Jolkę, gdy mieszkała razem z mamą, i potem też, kiedy już miała własne niespłacone mieszkanie, wyrażał zrozumienie dla ciężkiej sytuacji finansowej i zostawiał na stole kilka banknotów. Przy każdej jego wizycie obie rzucały spojrzenia niecierpliwe na ten róg stołu, gdzie, wiedziały, pojawią się pieniądze.

Skok spadochronowy z samolotu, tandem z obcym instruktorem

Jakub zostawił ją na lotnisku i pojechał do pracy. Trzeba dbać o kontrakty zagraniczne i te inne też, wiadomo, jeśli człowiek jest odpowiedzialny i rzetelnie wypełnia swoje obowiązki zawodowe.

Skok w tandemie. Jolka czekała na swoją kolej. Pomimo napięcia, które gdzieś tam w środku ją roznosiło, z jakiegoś niewiadomego powodu polubiła tę atmosferę na strefie, ludzie byli sympatyczni, wyluzowani - z wyjątkiem tych, co czekali na tandem..

- Po co mi ten tandem? A co jak spadochron się nie otworzy, co jak samolot się rozbije po starcie? Może będzie wiało i odwołają skoki?

Takie myśli chodziły jej po głowie.

Usłyszała jak ktoś wykrzykuje jej imię. To był jej instruktor. Podeszła bliżej, przyjrzała mu się dokładnie. - Więc to z nim przyjdzie mi umrzeć? Jak mam zginąć to przynajmniej w towarzystwie przystojniaka. Co ja wygaduję, nikt nie umrze, skup się,

słuchaj co on mówi!

Instrukcje, co robić w czasie lotu w tandemie były klarowne. Miała szczęście, jej instruktor miał poczucie humoru, to odgoniło jej negatywne myśli.

- Widzisz tę uprząż? Jest lepsza o tych, co niektórzy mają w sypialni. Mrugnął okiem. Natychmiast wyobraziła sobie i Jakuba, w duchu się uśmiechnęła.

Bała się, że w czasie lotu będzie czuła, że żołądek podchodzi do gardła, że spada...

- Będziesz się czuła, jakbyś leżała na miękkim materacu z powietrza - ktoś powiedział.

Samolot wznosił się w powietrze, odliczała minuty, miała wrażenie, że trwa to wieku.

- Wcale mi się nie śpieszy, tak sobie tu posiedzę, popatrzę przez okno...

Kamerzysta ustawiał kamerę. Pomyślała:

- Jak będzie wyglądał wymuszony uśmiech na przerażonej twarzy?

Nagle dźwięk silników, huk powietrza przerwał zadumę, ktoś otworzył drzwi od samolotu. Zobaczyła samodzielnych skoczków, jak z radością opuszczają samolot, niektórzy robili salta.

- To wygląda jak świetna zabawa!

Instruktor po raz kolejny sprawdził uprząż, naciągnął paski, klamry. Przesuwali się w kierunku wyjścia.

Kamerzysta czekał na zewnętrznym stopniu samolotu, gotowy do skoku. Stanęli w drzwiach.

Spojrzała w dół. Nie czuła lęku wysokości, ziemia wyglądała jak na pocztówce. Serce biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

- Więc to jest moje być albo nie być. Taka będzie moja śmierć. Nie, właśnie że nie umrę!

Instruktor coś do niej mówił, ale niewiele do niej docierało.

Czy chcę fikołka na wyjściu? Nie zdążyła pomyśleć, a jej ciało było w powietrzu i robiło obrót.

Najpierw był „free fall” - lecieli bez otwartego spadochronu. Minęło kilka dobrych sekund zanim ‘odzyskała’ władzę nad swoim ciałem. Zaczęła sobie przypominać instruktaż:

- Kolana zgięte, ciało wygięte w łuk, tak, chyba tak to miało być.

Przed nimi był spadochroniarz z kamerą. Był bardzo blisko, wyciągnął do niej rękę, robił śmieszne miny. Zaczęła się śmiać, znaczy próbowała, pęd powietrza jej tego nie ułatwiał.

Jej instruktor też miał kamerę przyczepioną do nadgarstka.

Instruktor otworzył duży kolorowy spadochron. Pozwolił jej sterować, to znaczy pozwolił, żeby zrobiła samodzielnie powoli i ostrożnie dwa małe zakręty. Wylądowali miękko na trawie. Wiatr zaczął szarpać tkaninę i szybko podbiegli jacyś spadochroniarze, żeby pomóc.

Przepełniona radością, szczęśliwa, że żyje, bezwiednie uściskała instruktora. Czowała się jak bohater o super odwadze. Zadanie zaliczone, to tyle. Nigdy więcej.

Potem kupiła dla wszystkich skrzynkę piwa i czekała, aż przygotują wideo z jej lotu. Przysiadło się do niej dwóch spadochroniarzy z Hawajów. Próbowali ją postraszyć.

- Nie zawsze skok w tandemie jest bezpieczny.

Opowiedzieli o instruktorze hawajskim, który dostał zawału w czasie lotu. Był silny wiatr i zniósł tandem na morze. Jego pasażerka utonęła. Najczęściej tandemy są bezpieczne, bardzo rzadko zdarza się coś takiego. Ktoś jeszcze opowiedział o dziewczynie, która wysunęła się z uprząży i zginęła twardo uderzając ziemię. Zaraz potem jakaś odważna kobieta kupiła skok w tandemie na swoje osiemdziesiąte urodziny i też wysunęła się z uprząży w podobny sposób, ale instruktor zorientował się i w ostatniej chwili złapał ją za nogę. Jolka już by się nie wysunęła, bo po tych

wypadkach nakazano wszyć do uprząży grubą taśmę w poprzek tej dziury, przez którą obie panie się wysunęły.

Wideo z jej skoku było gotowe. Oglądali wszyscy i czuła się cudownie.

Jakub dołączył do nich zaraz na początku filmu.

Były też piękne zdjęcia z jej skoku, oglądali wspólnie, a potem poprosili, żeby ktoś zrobił ich zdjęcie: Jolka i Jakub pod palmami. Pierwsze wspólne zdjęcie na Fejsbook. Co powiedzą ludzie, że oni są razem, przeleciało jej przez głowę, ale tyle się działo, że opinia ludzka mało się teraz liczyła. Na wszelki wypadek, zanim zdjęcia zostały zrobione, pobiegła z torebką do łazienki. Szybkim sprawnym ruchem wymodelowała włosy. Przeciągnęła usta pomadką.

Cycki, muszę poprawić cycki, one też muszą dobrze wyglądać! Ułożyła piersi w staniku, naciągnęła dekolt i wyszła.



Fot. krzysztofniwolny z Pixabay

Na złe dni, na świt, który trudno rozwiązać... Może kurs paralotniowy? Startuje się pod wiatr.

Ojciec Titki, jak tylko wyjęły bagaże z samochodu, włączył silnik, mocno dodał gazu i odjechał. Był spóźniony.

Instruktor Hubert stał przy swoim samochodzie zirytowany tym, że przyjechali tak późno.

- Pośpieszcie się dziewczyny, bo zaraz zrobi się ciemno - mruknął.

Titka wzruszyła ramionami i pobiegła gdzieś z telefonem.

Instruktor Hubert przypiął Jolce paralotnię. Rutyna, nerwowe, szybkie ruchy. Uniósł lekko skrzydło, ustawił do wiatru. W ostatniej chwili zapięła kask. To było za prędko. Nawet nie zdążyła zmienić butów. Miała na sobie eleganckie pantofle, które ślizgały się po śniegu. Ale to był dobry start. Pod wiatr, jak trzeba.

Poleciała wysoko. Skrzydło drżało, łapało turbulencje. Myślała, żeby dodać sobie odwagi, że to przecież szkolna paralotnia, taka do uczenia początkujących i że nic jej się nie stanie. Ręce w górze i nie bać się, przypominała sobie słowa Jakuba. Myślała o nim. Wcale się nie pogniewał. Chorował. Tak jak ona. Góry były piękne, ostre szczyty w oddali i zalesione zbocza tu blisko.

Spojrzała w dół. Jacyś ludzie podchodzili pod górę i patrzyli na nią. Chciała im pomachać, ale była tak wysoko, że nie mogliby tego zobaczyć.

Potem poczuła spokój i pomyślała, że niebo jest zawsze jakieś święte i błogosławione, niezależnie od religii, jaką się wyznaje.

Świerki były teraz ciemnozielone. Utraciły czapy śniegu. Była w niebie.

Przeleciała wysoko ponad polaną, na której planowała wylądować. Dopiero teraz zbliżała się do ziemi. Dalej był las. Przypomniała jej się ta część szkolenia, która mówiła o lądowaniu awaryjnym na drzewie.

Zobaczyła potok z piaszczystym brzegiem, pełnym małych kamyczków, z których

woda splukała śnieg. Ostrożnie wykonywała manewry.

I kiedy już stała na ziemi, chciała śpiewać ze szczęścia.

Pantofle nie ślizgały się, gdy lądowała na piasku, ale po śniegu trudno było iść. Pamiętała kierunek – do góry i potem koniecznie w lewo.

Odpięła paralognię i zarzuciła na jedno z niższych drzew. Jeśli będą jej szukać, prędzej wypatrzą kolorową paralognię, niż ją gdzieś tam w lesie. Pod kolorową tkaniną tańczyły linki, jakby tysiąc pajaków wyginało długie ramiona.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i zaczynało robić się zimno. Wiedziała, że musi iść. Nie wolno usiąść ani na chwilę, żeby nie zamarznąć.

Zdawało jej się, że widziała wilka skradającego się za drzewem. – Sen mara, Bóg wiara, powiedziała do siebie.

Pomoc nadeszła w postaci małego śmigłowca, który wylądował w tym samym strumieniu. Widocznie to było najlepsze miejsce do lądowania w tej okolicy. Wiatr, który zrobiło śmigło, uniósł paralognię zawieszoną na drzewie. Dobry pilot, pomyślała. Nie wpłatał się w linki, bo wtedy oboje potrzebowaliby pomocy.

Ze śmigłowca wyskoczył mężczyzna. To był Jakub. Co on tutaj robi?

Wilk wyszedł zza krzaka i zbliżał się w ich stronę.

– Tu są wilki. Uważaj.

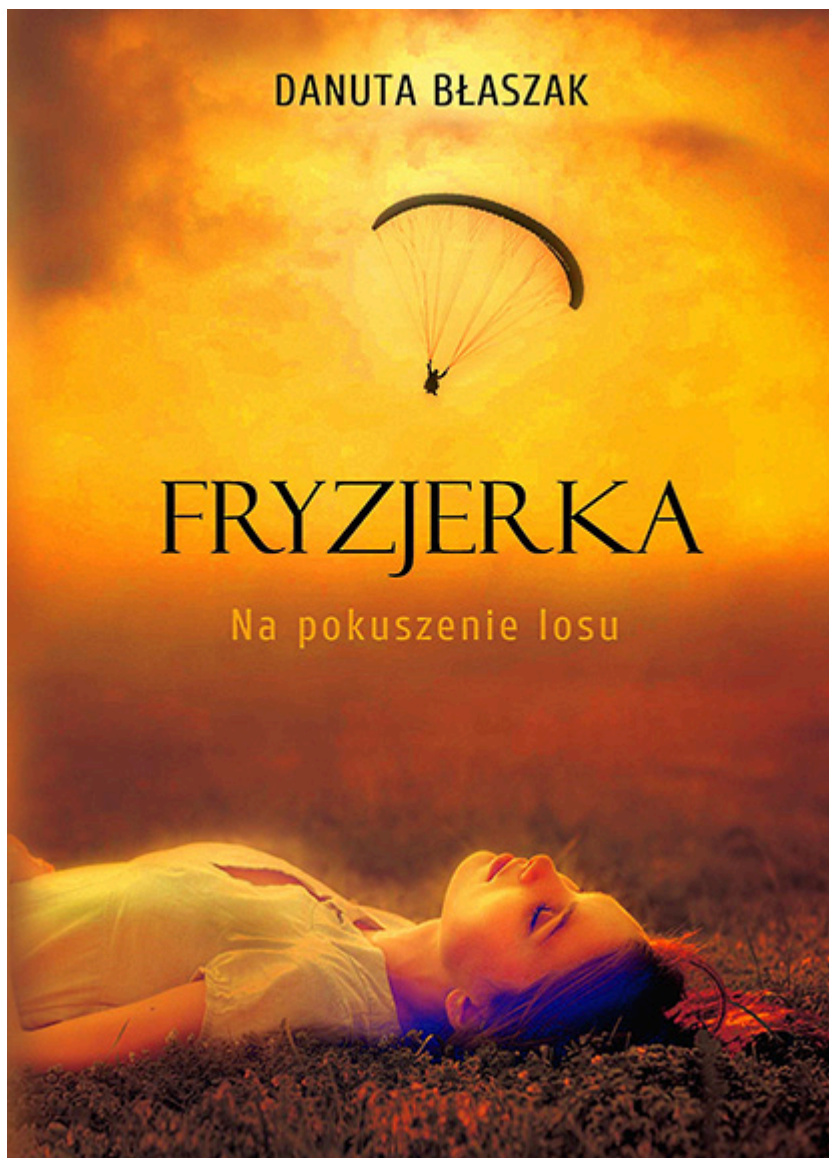
– Nie bój się – powiedział Jakub. – To nie wilk. To pies mojej siostry.

Pogłaskał psa. Pomyślała, że ją też mógłby pogłaskać, albo coś bardziej po ludzku.

– Jesteś sama? – zapytał. – Na pewno zerwałaś z tym idiotą?

– Czy zawsze zaczynasz akcję ratunkową od takich pytań?

Danuta Błaszak, Fryzjerka. Na pokuszenie losu, wyd. Norbertinum 2021 r.

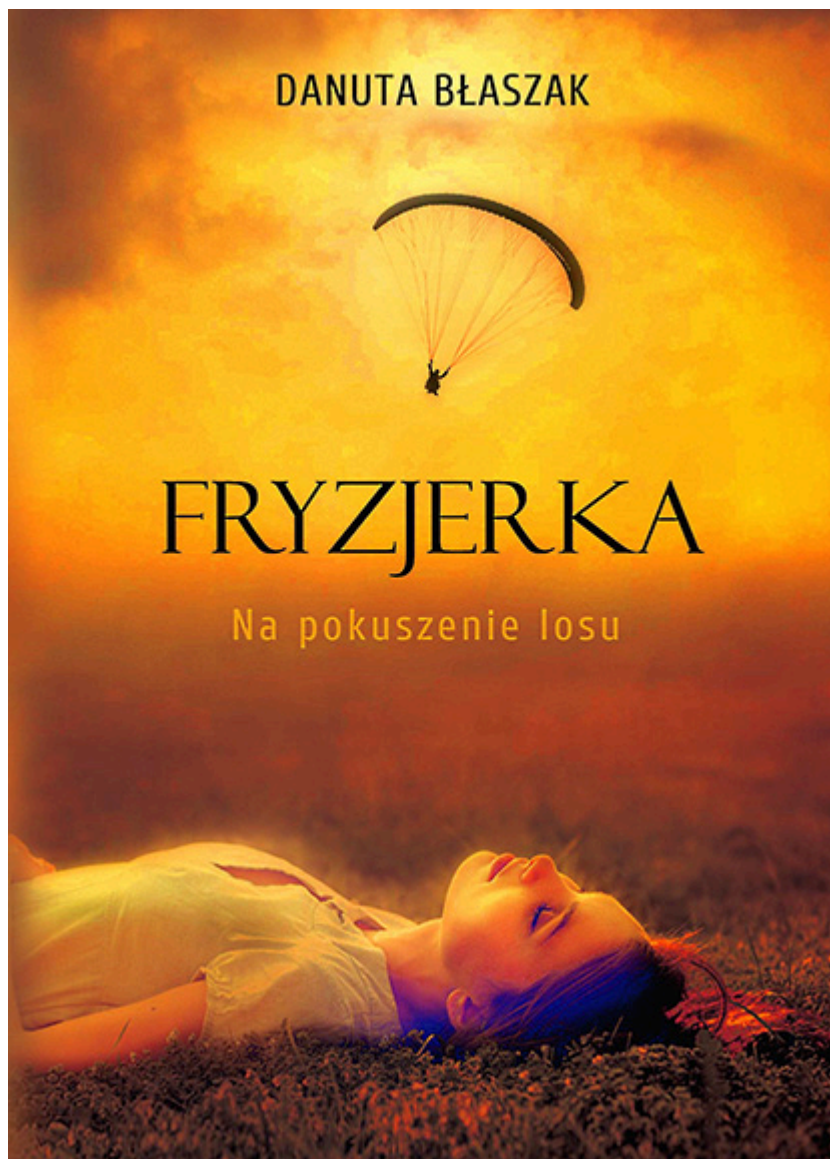


http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfyLUxx_OMAs

Recenzja:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

„Fryzjerka” Danuty Błaszak



Zbigniew Mirosławski (Tarnów)

Powieść pt. *Fryzjerka. Na pokuszenie losu* Danuty Błaszak została wydana przez szacowną, lubelską Oficynę NORBERTINUM, działającą od 1989 r., a w ofercie reklamującą się m. in.: poezjami ks. Janusza Pasierba pt. *Blask cienia*, tomem pt. *Chmura*, o Leonie Zdzisławie Stroińskim pióra Hanny Zofii Etemadi czy książką Anny Marii Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*.

Do sięgnięcia po tę pozycję zachęcają nie tylko: nazwisko autorki, Danuty Błaszak, dziennikarki, edytorki, poetki, tłumaczki i działaczki polonijnej z Florydy, także piękne i staranne wydanie, szata graficzna według projektu Agnieszki Herman. Na okładce zamieszczono graficzną zapowiedź tego o czym przeczytamy: są to unosząca się w powietrzu paralotnia, leżąca na trawie, rozmarzona dziewczyna, szybująca wyobraźnią w przestworzach. Ciepłe, miodowe barwy.

Na stronie ostatniej *résumé*, z którego wyjmuję kilka zdań na temat głównej bohaterki, fryzjerki Joli. Brzmi banalnie, ale intryga wciąga niepostrzeżenie, bo narracja jest dynamiczna i ciekawa. Przeczytamy

Jolka zdecydowanie zmienia swoje życie. - Już nigdy nie wezmę pieniędzy od mężczyzny - deklaruje. Zrywa z kochankiem i dotychczasową rutyną. Odważnie wyraca wszystko do góry nogami.

Faktycznie uzależnienie od żonatego Romualda, chorującej matki i faktycznych i „przyszywanych” ciotek, Stefy, Romy i Kwiety zdaje się tworzyć splątanie, trudne do odcięcia się od tych toksycznych związków. Relacja z koleżanką z pracy Michaliną jest ważna ale również podlega wahaniom, kiedy pojawiają się młodsze ubiegające się o pracę, Kasia i Mela.

Nie ujawniając zbyt treści trzeba zauważyć zarysowanie wyraźnych charakterów i starszych i młodszych kobiet, w tym Titki i Kitki, także panów Huberta i Jakuba. Pewną rolę odgrywa również przypadkowy tzw. łut szczęścia, a konkretnie wygrane uczestnictwo w kursie paralotniarskim.

Niezbyt często w życiu spotykamy się z taką odwagą rzucenia się w nieznane. Przypuszczam, że lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż niekorzystne „układy” można zmienić. Liczy się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od codzienności.

Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię. Nawet kłopoty finansowe, wysoki kredyt mieszkaniowy do spłacania nie zatrzymają Joli w realizacji marzeń. Recenzent NORBERTINUM stawia pytania „...Czy wrażliwa, delikatna dziewczyna poradzi sobie z wyzwaniem, przed którym samą siebie postawiła? Czy będzie umiała zgodzić się na

miłość, jakiej dotąd nie znała?...”.

Oryginalną dygresją jest wspomnienie przez autorkę, w imieniu swojej bohaterki Joli, znanych poetek: Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i... samej współpracującej z Danutą Błaszak poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman.

Innym aktualnym wątkiem jest nadchodząca i rozwijająca się pandemia. Refleksje na temat przebiegu zakażenia koronawirusem. Obecnie czyta się to inaczej niż miejmy nadzieję za parę lat. Kwestia ta jednak pozostanie rodzajem dokumentacji trudnych lat 2020 i 2021.

Dla zainteresowanych lataniem interesujące mogą stać się opisy kursu paralotniarskiego, zajęć z meteorologii, lotów helikopterem i skoków spadochronowych w tandemie i indywidualnie. Zwłaszcza tych na Florydzie nad Sebastian River, w Zephyrhills.

Warszawianka, Danuta Błaszak, wraz z rodziną wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, mieszka w Orlando. Pisze o tym na czym zna się bardzo dobrze. Sama jest pasjonatką latania, skoków na spadochronie, paralotniarstwa. Od wielu lat zajmuje się promocją polskiej kultury. Prowadzi literacką stronę **miasto literatów ++** i we współpracy ze wspomnianą już dwukrotnie w tym tekście Anną Marią Mickiewicz z Londynu wydaje serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland*. Jest to seria dwujęzyczna, polsko-angielska. Trzeba wyrazić nadzieję, że pisarstwo Danuty Błaszak nadal będzie się rozwijać. Za sobą ma już publikacje w *Radarze* na łamach którego od 1986 r. pisała recenzje i informacje z plenerów literackich. Wydała tomiki: *Wiersze, Tereska ze smutnego raję* (1995); *Anegdoty liryczne* - tomik wydany przez NZS, NURT, w drugim obiegu, 1989. W dorobku posiada również książki reportażowe: *Plotki z Florydy* z przedmową Marka Kasza (WKMS 1993); *Seks przez telefon - wywiad z dziewczyną z 0700* (IbiS); *Group Home Recollections* - Bianka B. Bird (Dreammee Little City 2014); *Notatnik z autyzmu* - o ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem (Dreammee Little City 2005); oraz tomiki wierszy, m. in.: Otrzymała wiele nagród, medale i wyróżnienia.

Danuta Błaszak

Fryzjerka. Na pokuszenie losu

- Wydanie: pierwsze
- Miejsce i rok: Lublin, Norbertinum, 2021
- Objętość: 197, [2] s.
- Format: 147 x 208 mm
- Oprawa: miękka klejona
- ISBN: 978-83-7222-712-6

http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyYLUxx_OMAs

Zbigniew Mirosławski, redaktor Współczesnej Polskiej Poezji i periodyku - Magazyn Literacki, Aspiracje. Laureat ogólnopolskich nagród literackich.